

Nr. 49.—Rok XXVI.

Dnia 9 Grudnia 1905 r.



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

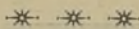


Przedświt.

PRZEDŚWIT.

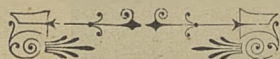


Zabielał brzask, zabielał brzask
 Na ciemnym nieba kraju,
 I powiał prąd, ożywczy prąd,
 Jak rankiem na wyraju.
 Kędyś z dalekich mrocznych stref,
 Z blednących gwiazd bezdroży,
 Niepewna jasność spływa w dół —
 Zapowiedź bliskiej zorzy.
 Powoli spływa w mętnej mgle.
 Jak sennych złud widzenie,
 Lecz już, w półświecie bladych smug,
 Niebieszczą się przestrzenie.
 I choć raz po raz rwący wiatr
 W chmury skłębia ją opończy,
 Ziemią przebudzeń wstrząsa dreszcz;
 To noc, to noc się kończy!



I wybiegają ludzie z chat
 I wyciągają ręce,
 Pacholąt rój, wesoły rój
 Uśmiecha się jutrzence.
 Dość w smutnej izbie dość już trwać
 I czuwać przy łuczywie,
 Wnet błysnie dzień, radosny dzień,
 Na rolę wnet — kto żywie!
 Ojcowie matki, po przez łyżę
 Na dziatwy patrząc głowy,
 Jakby nie wierząc oczom swym,
 Witają świt różowy.
 I ponad zórz świetlisty łuk
 Westchnienia mkną gorące:
 „Nie nam — to im, nie nam — to im
 Daj, Panie, ujrzeć słońce“!

Ig. Baliński.



J. Korzeniowski (Conrad).



MŁODOŚĆ.

(ciąg dalszy.)

Praliśmy bieliznę, po raz pierwszy od dwóch tygodni, umyliśmy twarze i otrzymaliśmy jakiś nadzwyczajny obiad. Z pogardą opowiadaliśmy o pożarze, na którego tacy ludzie jak my, zawsze znajdują sposób.

Każdy z nas doznawał uczucia, jakgdyby odziedziczył olbrzymią fortunę.

Obrzydliwy śwąd spalenizny, wisiał jednak wciąż nad okrętem. Kapitan Beard miał zapadłe

oczy i policzki, Nigdy nie wydawał się tak zbiezonym i zgarbionym jak teraz. On i Mahon włączyli się ciągle około wentylatorów i wachali. I Mahon dziwnie jakoś postarzał się. Co się mnie tyczy, byłem tak szczęśliwy i dumny, jak gdybym pomógł do wygrania wielkiej morskiej bitwy.

O, młodości!

Noc była cudowna. Z rana, minął nas jakiś wracający okręt — był to pierwszy — widziany od kilku miesięcy; zbliżaliśmy się już nareszcie do ładu, Jawa oddalona była zaledwie o 19.0 mil.

Nazajutrz, wypadła mi służba na pokładzie, od ósmej do dwunastej. Przy śniadaniu kapitan zauważył:

— To dziwne jednak, że ten śwąd nie rozchodzi się wcale, około dziesiątej, zatrzymałem się przy wielkim maszcie, dla wypalenia fajki i wsparłem się o ławkę, na której zwykle stolarz nasz pracował. Po chwili on sam podszedł do mnie — mówiąc.

— Dzielnie sprawiliśmy się — co?

Odczułem nagle, jakoby on ławką poruszył. Syknałem rozdrażniony. — Dajże pokój!

Wtem doznałem dziwnego uczucia, niedorzecznego złudzenia — zdawało mi się, że lecę w powietrze,

Słyszałem naokoło siebie wybuch, jakby długo tłumionych westchnień — jakby tysiące olbrzymów jęknęło jednocześnie — poczułem gwałtowny ból w żebrach. Niema wątpliwości, jestem w powietrzu, a ciało moje zatacza krótką linię, chociaż trwało to jedną chwilę, myśli przelatywały w moim mózgu, w takim, o ile pamiętam porządku.

— To nie stolarz — a więc co? — Jakiś wypadek. — Może podmorski wulkan? — Gaz węglowy! — Na Jowisza! zostaliśmy wysadzeni w powietrze — wszyscy zabici — lecę na dno — widzę już płomień! — Unoszący się pył węglowy, w chwili wybuchu, przybrał krwistą barwę.

Jedno okamgnienie, minimalny ułamek sekundy, a leżałem już na płonącym ładunku.

Zerwałem się i wygramoliłem na wierzch. Działo się to tak szybko, jak odskoczenie piłki od podłogi. Pokład zdawał się być lasem, po przejściu huraganu; olbrzymie brudne płótno, poszarpane w kawały poruszało się powoli — to nasz główny żagiel. Maszt runie zaraz, więc by nie znaleźć się na drodze, na czworakach pędziłem do drabiny.

Pierwszą istotę, którą ujrzałem był Mahon, z wytrzeszczonymi oczami, otwartymi ustami; siwe włosy stały mu sztorcem na głowie.

Miał właśnie zejść na dół, gdy widok wylatującego w powietrze i spadającego w drzazgach najwyższego pokładu, przykuł go na miejscu.

Patrzyłem na niego nie wierząc własnym

oczom, a on, przyglądał mi się z dziwną ciekawością. Nie wiedziałem, że nie mam ani włosów, ani brwi, ani rzęs, że mój młody wąsik padł także ofiarą, że moja twarz czarną była zupełnie, policzek poszarpany, nos przecięty a z brody obficie krew spływała.

Zgubiłem czapkę, jeden pantofel, a koszula zwiślała w strzępach. O tem wszystkim, nic nie wiedziałem.

Zdumiony byłem, widząc, że okręt jeszcze płynie, a przede wszystkim, że ktoś żyje jeszcze. Nie mogłem pojąć tego spokoju nieba i ziemi. Zapewne przypuszczałem, że powinny dyszeć zgрозą i oburzeniem.

Jakiś głos krzyczeń zaczął—gdzie? co? w powietrzu, czy w niebie — nie mogłem zgadnąć.

Nagle ujrzałem kapitana — zwaryował.

Spytał mnie z wielkiem ożywieniem.

— Gdzie stół z kajuty?

Słyszając takie pytanie — zgłupiałem. Zostałem wyrzucony w powietrze, cały jeszcze drżałem po tem wrażeniu — niezupełnie pewny, czy żyję jeszcze.

Mahon zaczął tupać nogami i krzyknął na niego.

— Wielki Boże! czyż nie widzisz, że pokład wysadzony?

Odnalazłem głos i bąkałem, jak gdybym zaniedbał jakiegoś wielkiego obowiązku.

— Doprawdy, nie wiem, gdzie jest stół!

A wiecie czego później zażądał? Wymieńczyć i sprawdzić natychmiast kierunek drogi.

Okazało się, że staruszek leżał w hamaku, gdy go wybuch z niego wyrzucił. Przyszła mu myśl, jak później opowiadał, że okręt natknął się na jakąś przeszkodę, pobiegł więc do kajuty. Stołu nie było, gdyż spadł do lazaretu, a w miejscu gdzieśmy jedli śniadanie, ujrzał ogromną dziurę.

To wydało mu się tak tajemniczem i takie wywołało wrażenie, iż to co widział później, wyszedłszy na pokład błahostką się zdało. Zauważyliśmy tylko, że zaraz spostrzegł, iż nikogo przy sterze niema, zatem okręt musiał zmienić kierunek — jedyną więc jego myślą było, zwrócić tę nędzną, obdartą, dymiącą skorupę do portu jej przeznaczenia. Bankok! o to mu tylko chodziło!

Powiadam wam, że ten spokojny, zgarbiony staruszek, był olbrzymem, nie tracącym z oczu swej myśli przewodniej, obojętny i nieświadomy naszego podniecenia.

Tak! pierwszą rzeczą cośmy zrobili, to było sprostowanie drogi nędznej skorupy!

Wszyscy żywi byli, ale wszyscy, mniej lub więcej poranieni. Szkoda żeście ich nie widzieli!

Jedni w łachmanach, z czarnymi twarzami jak kominiarze, z odkrytymi głowami, na których spalone do skóry włosy, tworzyły jakby czapki z wełny kręconej. Inni drżeli nieustannie i jęczeli strasznie, ale wszyscy pracowali.

Ta załoga z Liverpool, miała w sobie ten materyał, z którego tworzą się ludzie, miała dusze z kamienia. Potykając się, to na czworakach, zbierali się wszyscy, nawołując wzajemnie.

Maszty stały, ale nie mogliśmy wiedzieć, jak dalece są od dołu uszkodzone. Mogły runąć lada chwila. Patrzyliśmy na nie z niepokojem, nie można było przewidzieć, na którą stronę padną. Zebraliśmy się na tyle okrętu i potoczyli okiem w około.

Pokład zarzucony był szczątkami, odłamkami. Maszty wznosiły się nad tem, jak olbrzymie drzewa nad zniszczonym, porąbanym lasem.

Między temi szczątkami, poruszało się coś białawego jakby jakaś tłustawa, lepka mgła.

Dym niewidzialnego ognia, snuć się znów zaczął, jak jadem przesiąknięte opary nad bagniskiem. Gdzieś tam, już smugi w górę wzbijać się zaczęły.

Przez dziurę w jednym ze wstrętne brudnych żagli, przeglądało wspaniale błękitne niebo, kilka desek powalonych na brzeg okrętu tworzyło ścieżkę, jakby zachęcającą nas do pójścia na spotkanie śmierci, czyhającej w otchłani morskiej i skończenia raz z temi nieustannymi przeszkodami.

A tu znów z powietrza, czy z nieba, płynął głos—wołający na nasz okręt.

Komuś przyszło na myśl przechylić się przez baryerę, ujrzał sternika, który pchnięty siłą wybuchową został wyrzucony z okrętu, a teraz pragnął doń powrócić. Krzyczał z całych sił i płynął trzymając się z biegiem okrętu.

Rzuciliśmy mu sznur i stanął między nami ociekający wodą, niezmiernie wyczerpany.

Kapitan odstąpił od steru, wsparł się o rampę i wpatrzył się w bezmiar wód.

Zadawaliśmy sobie pytanie, co teraz nastąpi? Ja myślałem o wielkości tej chwili, wyczekując dalszego jej ciągu. O młodości!

Nagle Mahon ujrzał parowiec, jak punkcik czarny rysujący się przed nami.

— Należy skorzystać z niego—rzekł kapitan.

Wywiesiliśmy dwie flagi, które w międzynarodowym języku morza — znaczyły:

— Ogień! palimy się. Potrzebujemy natychmiastowej pomocy.

Parowiec rósł i rósł w oczach i odpowiedział wywieszeniem dwóch flag: — Spieszę wam z pomocą!

Po upływie pół godziny zbliżył się ku nam i stanął.

Jednym głosem wrzeszczeć zaczęliśmy.

— Byliśmy wysadzeni w powietrze!

Człowiek w białym kasku, stojący na pomoście, krzyknął:

— Dobrze! dobrze! — uśmiechnął się i uspokajająco poruszał ręką.

Jedna łódź zsunęła się do wody i płynęła ku nam szybko. Wiosłowało czterech Malajczyków, pierwszy raz ich widziałem, uderzył mnie nadzwyczajny ich spokój. Zaczepili hak o nasze łańcuchy, ale nie raczyli podnieść głowy, by rzucić na nas okiem. Zdawało mi się, że ludzie eksplozją wyrzuceni w powietrze, zasługują na większą uwagę.

Mały człowiek, suchy jak szczapa, a zręczny jak małpa wdrapał się do nas.

Rzucił okiem i zawołał:

— O! chłopcy, uciekajcie lepiej zaraz!

Milczeliśmy. Rozmawiał czas jakiś z kapitanem, kłócił się z nim o coś. Nareszcie obaj razem udali się na parowiec.

Gdy nasz kapitan wrócił, dowiedzieliśmy się, że parowiec nazywa się „Sommerville“ kapitanem jest Nash, płynie z zachodniej Australii do Singapore, via Batavia, że zgodzono się na to, iż nas przeholuje do Anger, lub Batawii, jeżeli to będzie możliwem, tam stłumimy ogień i pojedziemy dalej—do Bankok!

Kapitan był bardzo podniecony.

— Już teraz dokonamy swego — rzekł do Mahona.

Pięścią wygroził w dal. Żaden z nas, ani słówkiem nie odezwał się.

O południu, parowiec zaczął nas holować.

Płynął wysmukły, piękny, a co pozostało z „ludzi“ sunęło na końcu długich lin, jak chmura dymu, z wystrzelającymi z niego masztami.

Wdrapaliśmy się na maszty, manewrując żaglami, możecie sobie wystawić nas, pracujących na okręcie, którego przeznaczeniem było nigdy do celu nie przybyć? Między nami nie było nikogo, ktoby nie wiedział, że maszty lada chwila runąć mogą.

Z wyżyny, na której znajdowaliśmy się, nie widzieliśmy okrętu, gdyż cały był w gęsty dym spowity.

Rozumiecie to? Przekonany jestem, że żaden z nich nie spodziewał się zejść zwykłym sposobem. Gdyśmy pracowali, słyszałem, jak jeden do drugiego mówił:

— Głowę daję, że zlecimy w morze jak gruszki.

— Ja również tak myślę — odparł drugi, — cały potłuczony i obandażowany.

A pamiętajcie, że to byli ludzie, nie wyćwiczeni w posłuszeństwie.

Co ich skłaniało tak postępować, co ich zmuszało do słuchania mnie, który z powodu

drobnej niedokładności, kazałem im pracę rozpocząć na nowo?

Co? Nie wyczekiwali nagród, nie posiadali poczucia obowiązku; umieli oni dobrze ociągać się, próżniaczyć w zwykłych okolicznościach i nie raz się to zdarzało.

Czy to pensya dwóch funtów sterlingów na miesiąc, zachęcało ich? Nie! wcale nie byli z niej zadowoleni

Nie! tkwiło w nich coś, coś żywiołowego wrodzonego, a niezłomnego.

Nie mówię, by francuzka, lub niemiecka załoga, nie mogła poszczycić się podobnem męstwem. Ale wątpię, by mogła dokazać tego samego, w taki sam sposób.

Było w tem coś tak silnego jak instynkt, objaw czegoś tajemniczego, tego ukrytego, co można nazwać darem dobroczynnym, lub fatalnym, a co stanowi różnicę między rasami i warunkuje przeznaczenie zawodów. Coś podobnego tylko w samym kierunku tkwiło w tych legionach polskich, które z rozkazu Napoleona przebiegli pół-świata, a których tak podziwiał mój dziad, dawny oficer Wellingtona w Hiszpanii.

Tej nocy o dziesiątej, po raz pierwszy od kąd walczyliśmy—ujrzeliśmy znów ogień. Szybkość holowania podnieciła niszczący żywioł. Błysnęło niebieskie światło, zdawało się poruszać, pełzać, jakgdyby było świętojańskim robaczkiem. Ujrzałem to pierwszy i wskazałem Mahonowi.

— Skończona heca — rzekł.—Dajmy pokój temu holowaniu, bo rozleci się pod naszymi stopami, zanim uciec zdołamy.

Zaczęliśmy krzyczeć, bić w dzwony, by zwrócić ich uwagę, ale na próżno—holowali nas dalej.

Musieliśmy z Mohonem podpełznąć i skierami przeciąć liny.

Czerwone języki lizały szczątki rozrzucone po pokładzie, gdy wracaliśmy po nim, na dawne miejsce. Naturalnie spostrzeżono na parowcu, że liny przecięte. Zgrupowani wszyscy na tyle okrętu, patrzyliśmy na niego. Każdy z nas trzymał jakieś zawiniątko, czy worek w ręce.

Nagle buchnął wielki słup ognia rzucając jaskrawy blask na czarne niebo, oświecając dwa okręty stojące obok siebie.

Kapitan od kilku godzin siedział pogrążony w zadumie, teraz wstał powoli i stanął przed nami. Kapitan Nash krzyknął:

— Zmykajcie do łodzi, zabiorę was i waszą łódź do Singapore.

— Dziękujemy—odparł nasz kapitan. — Do ostatniej chwili nie opuścimy okrętu!

— Nie mogę stać dłużej—wołał tamten — pocztę wiozę— wiecie o tem.

— Dobrze, dobrze! Jedźcie sobie!

— Jak chcecie! Zdam o was raport w Singapore .. Żegnam!



NOWA KSIĄŻECZKA.

— Heniu! Heniu! dziadus jedzie! —
 Tak z radością wołał Janek.
 — Dziadus! — i na powitanie
 Biegną chłopcy aż na ganek.
 — Stój!... — stanęły różne siwki
 Obaj chłopcy dziadusiowi
 Pomagają wysiąść z bryczki.
 — Jak się macie? czyście zdrowi?
 — Zdrowi, zdrowi! chodź, dziaduniu,
 Pewnie bardzo zziębłeś w drodze? —
 — Oj, już zima się przybliży,
 Wiatr mi w uszy nawiał srode! —
 Usiadł dziadus przy kominku,
 Kędy jasny ogień płonie
 A po bokach Henio, Jąnek
 Rozcierają dziadzi dłonie.
 Hej! pamięta o swych wnukach
 Dziadus dobry, dziadus siwy!
 Przywiózł chłopcom śliczną książkę,
 A w niej dziwy, same dziwy!

O piastowej onej chacie,
 Co w lesistym gąszczu stała
 Otoczona pszczelnym brzękiem
 I w słonecznych blaskach cała.
 Raz z wieczora Piast sędziwy
 Szedł do domu pełną miedzą.
 A wtem spojrzy... w cieniu dębu
 Dwaj strudzeni męże siedzą;

Więc pokłoni im się nizko
 I do chaty swej zaprasza:
 — Na kęs chleba, łyżkę strawy
 Niechaj zajdzie miłość wasza. —
 Wiedzie gości w próg ubogi
 Swej słomianej strzechy niskiej,
 A gdy siedli poza stołem,
 Stawia z jadem pełne miski.
 W tem uchyla się drzwi chaty...
 Do świetlicy wchodzi chłopię:
 Świta na nim gruba, szara,
 Włos złocisty, jak konopie,
 Na ramiona mu się zwiesza.
 — Chodź tu do nas, chłopię małe? —
 A pacholę zwolna stąpa...
 Ach, źrenice ma zbiełałe.
 — Co ci dziecię? — ślepy jestem,
 Smutna, smutna moja dola!
 Nie widziałem, nie zobaczę,
 Jak się w słonku kąpią pola.
 Nie widziałem, nie zobaczę,
 Jako płyną bystre rzeki
 Wśród srebrzysto-wiotkiej trzciny
 W kraj nieznany, w kraj daleki,
 Wieczna jeno noc koło mnie,
 Jeno ciemność widzę siną... —
 I na piersi zwiesi głowę,
 Łzy mu z ślepych źrenic płyną.
 A wtem jeden z mężów wstanie
 Nad dzieciną złoży dłonie...
 — Wielcy króle z twego rodu
 Na Lechitów siadą tronie.
 Bóg źrenicom da oślepił
 Światło z cudotwórczej mocy.
 Jeszcze dzisiaj przejrzyysz, dziecię,
 Zanim legną mroki nocy. —

Hej! ciekaważ to ta książka!
 Północ bije na zegarze,
 Ale próżno mama, ojciec
 Spać chłopczykom iść już każe,
 — Jeszcze, mamó, tylko troszkę,
 Jeszcze chwilę, jeszcze chwilę! —
 Radziby przeczytać wszystko,
 A tu tyle rzeczy, tyle!

Kres.

Przygoda Anielci.

Anielcia jest bardzo miłą dziewczynką, uczynną i pilną w nauce, posiada tylko jedną wadę, z której wyleczyć się nie może. Lubi bowiem nadmiernie łakocie, a na widok cukierków, ciastek, konfitur, lub owoców, nie może się powstrzymać, by nie spróbować wszystkiego choć po odrobince mimo przestróg mamy, martwiącej się tą przywarą córeczki.

Tej jesieni, Anielcia wyjechała z mamą na wieś do cioci, która chcąc zrobić przyjemność swej siostrzenicze, zaprosiła dzieci z sąsiedztwa na podwieczorek do lasu, gdzie rozpalono ognisko z suchych gałęzi, by upiec kartofli, a dzieci zebrane nie posiadały się z radości, biegały, śpiewały, nawoływały się głośno i bawiły w różne gry.

Anielcia zachwycona tą zabawą, z ciekawością przyglądała się wyniosłym drzewom, stojącym jakby w zadumaniu i kołyszącym swymi zielonymi wierzchołkami, poruszanymi lekkim wietrzykiem w złotych słońca promieniach. Z podziwem przypatrywała się małym, czerwonym wiewiórkom, przemykającym szybko z drzewa na drzewo i chrupiącym zreżnięte orzechy; ptaszkom leśnym, śpiewającym rozkosznie i pracowitym mrówkom, snującym się w mrowiskach.

Nadewszystko jednak zajmowały ją krzaki leszczyny, obciążone laskowymi orzechami, jerrzyny ze smaczными jagodami, które zbierała wraz z innymi dziećmi, zającąc chciwie, aż poczerniła sobie całą buzię.

Przy jarzynach spostrzegła jeszcze jakies krzaki z nieznanym owocem, w formie małych, okrągłych, granatowych śliweczek.

— Mamusiu, co to jest? — zapytała Anielcia, patrząc pożądliwie na nieznaną przysmak — czy mogę spróbować tych śliweczek? Tak ładnie wyglądają, muszą być smaczne...

— To są ciarki, Anielciu — jeszcze nie-dobre.

— Choć jedną spróbuję — upierała się dziewczynka.

— Jak chcesz — odparła mama, uśmiechając się.

Anielcia skwapliwie zabrała się do zrywania ciarek. Już trzyma w ręku całą garstkę jagód i wkłada je szybko do ust.

— Ach! ach! pfe! pfe! — słyszy nagle całe towarzystwo krzyk Anielki. Zwracają się do niej i widzą wykrzywioną twarz dziewczynki, która z obrzydzeniem wypluwa cierpkie jagody. Widok ten był tak zabawny, iż wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem.

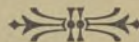
Anielka zawstydzona pobiegła do mamy, i zaczęła wycierać usta.

— Widzisz, córeczko — rzekła mama — nie chciałaś mnie słuchać i znów uległaś łakomstwu, a teraz wstydzisz się musisz i mamusia również za ciebie.

— Oj! prawda, mamusiu, że to jednak takie niesmaczne jagody rosną w lesie!

— Nie tylko niesmaczne, rosną także i jadowite, które zdrowiu szkodzą. Pamiętaj, Anielciu o tem.

M. R. S.



Jadwiga Marcinowska.

OPOWIADANIE.

I. Zakłęci rycerze.

(ciąg dalszy.)

Więc najniżej, od górskich stóp poczynając, pną się po zboczach ciemne, żywiczne, wonne bory. Hej! gdy się w nagłym wichrze rozszumią!

Strome boki Tatr do połowy pokryte onem lesistem pasmem szerokim. W spokojne chwile drzewa stoją poważne, smukłe i proste; są to najczęściej smereki inaczej zwane świerki.

Wyżej nad nimi znów pasmo, ale odmienne, jasno zielone, puszyste. Łąki to, czyli hale; przestrzenie dające obfitą trawę, więc pasą się na nich krowy, a przedewszystkiem w wielkiej ilości owce. Pasterze, zwani tam juhasami, wypędzają stada zaraz od wiosny i kocują z niemi w halach wysokich przez całe rzeźwe i wonne lato aż do czasów smutnej jesieni, kiedy to chłód każe ustąpić z wyżyn do zaciszniejszych wiosek w dolinie.

Ale teraz jeszcze pogoda.

Czy słyszyście leciuchne dzwięczenie dzwonek pozawieszanych krowom u szyi? W ten sposób nie gubią się choć rozproszone. Gromadki owiec wspięły się wyżej, gdzieniegdzie bardzo wysoko, widnieją stamtąd jak plamki szare. A juhas usiadł na zrębie skalnym; spogląda na wszystek ów świat poszarpany w urwiskach i śpiewa głosem przedziwnym pieśni wielkiej siły. Echo rozbija się o głązy, bo już niedaleko nad głową juhasa łąsieją góry. Trawa przeredła, pasmo hal się obrywa i występują nagie kamienie. Surowość milcząca i niezrównana powaga. Owa najwyższa część Tatr, skalista, z roślinności odarta, nazywa się wspólnem imieniem „Turnie“. Sterczą ściany: to gładkie, to poszarpane, to szare, to prawie czarne; z pod nóg wędrowca obsuwają się z szelestem drobne kamyki, gdzienie-

Przesłał nam ręką pożegnanie. Nasi ludzie spokojnie położyli swe pakunki. Parowiec sunął naprzód, a minawszy krąg światła, znikł nam natychmiast z oczu, gdyż byliśmy oślepieni, gwałtownie buchającymi płomieniami.

Teraz rozumiałem, że ujrzę po raz pierwszy Wschód, jako komendant małej łodzi. Pięknem mi się to wydawało: tak jak piękna była nasza wierność dla tego starego okrętu. Nie opuścimy go, do ostatniej chwili.

O! świetlana młodości! Ogień jej oślepia więcej, niż płomienie palącego się okrętu, rzuca magiczne światło na szeroką ziemię, śmiało wystrzela ku niebiosom. a stłumia go czas, bardziej okrutny, więcej gorzki i bezlitosny, niż morze, i jak płomienie palącego się okrętu — otoczony nieprzeniknioną nocą.

* * *

Stary nasz kapitan przekonał nas w swój łagodny a niewzruszony sposób, że obowiązkiem naszym jest, ocalić co się da z płonącego statku, ze względu na towarzystwo asekuracyjne.

Zabraliśmy się więc do roboty, a płomienie przyświecały nam znakomicie.

Zabraliśmy mnóstwo gratów. Czegośmy nie zabierali? Stary barometr, przytwierdzony Bóg wie ilu śrubkami, który o mało nie przyprawił mnie o śmierć: zaledwie zdołałem uciec z kłębow dymu, otaczającego mnie zewsząd.

Nagromadziliśmy całe stopy: lin, powrozów, płócien, łodzie były niemi przepełnione. Zdawało się, że stary chce zabrać jak najwięcej z tego, co pozostało po jego pierwszej służbie kapitana. Był bardzo, bardzo spokojny, ale najwidoczniej opuściła go równowaga. Czy wierzycie temu? Chciał zabrać zużyte liny, i kotwicę, w swą długą łódź.

Zaczęliśmy wołać z cicha.

— Aj! aj! kapitanie — ale nic nie pomogło, przedmioty te poszły do łodzi.

Toż samo stało się z ciężką skrzynią, rozmaitemi niepotrzebnymi rzeczami z paru workami zielonej kawy, i jeszcze innymi rupieciami.

Otrzymałem rozkaz, spuścić się z dwoma ludźmi do przeładowanych łodzi, zrobić tam porządek i przygotowanie do drogi, gdy wybije ostatnia dla okrętu chwila.

Ułożyliśmy wszystko o ile się dało, przygotowaliśmy wielką masztową łódź dla naszego kapitana, który miał objąć komendę i z przyjemnością usiadłem na chwilę.

Zdawało mi się, że mam całą twarz ze skóry odartą, że nie mam jednego całego członka, czułem wszystkie żebra i kłócie w krzyżu. Ło-

dzie, w głębokim cieniu, rzucanym przez okręt pogrążone były, a dalej gorzało morze, zapalone buchającymi płomieniami. Olbrzymi słup ognia roznosił się z szumem na przodzie, jakby tysiąca poruszanych z hukiem skrzydeł, jakby oddalonego grzmotu; trzeszczało, wybuchało, a z tego słupa ognistego deszczem sypały się iskry.

Niepokoili mnie to, że okręt pochylał się wciąż, a łodzie z uporem głupich istot pchały się pod niego, zbliżały się do płomieni, okręt, zaś pochylał się nad niemi; nie należy zapomnieć, że i maszt mógł lada chwila runąć na nas. Ja i moi dwaj ludzie odpychaliśmy je nieustannie przy pomocy wiosł, ale to nieustanne naprężenie do rozpaczy nas doprowadzało, tembardziej, że nie rozumieliśmy, dla czego nie opuszczamy zagrożonej placówki.

(d. c. n.)



Bitwa pod Austerlitz.

Przed stu laty, d. 2-go grudnia 1805 roku pod wioską Morawską (po czesku Sławków) odbyła się słynna w dziejach bitwa, zwana „bitwą trzech cesarzy“, bo brali w niej udział z jednej strony cesarz Francuzów Napoleon, z drugiej zaś cesarz rosyjski Aleksander I i austriacki — Franciszek.

W latach 1802—1805 Anglia pomimo zawartego z Francją przymierza — niechętnem okiem spoglądała na wzrost jej nowy. Czuł to Napoleon, już dożywotni konsul, i przygotowywał flotyllę i wojska nad kanałem La Manche, ażeby przepłynąć się do Anglii i tam zadać jej cios najdotkliwszy. Jednocześnie na wniosek Senatu został ogłoszony cesarzem, a gdy wybór ten zatwierdziło powszechne głosowanie, przyjął ten tytuł i koronował się wraz z małżonką d. 2 grudnia 1804 roku, w obecności apieża Piusa VII.

Anglia, chcąc odwrócić grożące niebezpieczeństwo, skłoniła Austrię i Rosję, aby wspólnymi siłami zniweczyły potęgę nowego monarchy, którego władza stawiała się coraz niebezpieczniejszą dla rządów europejskich. Koalicja przyszła do skutku, lecz zanim wojska rosyjskie zdołały połączyć się z austriackimi, Napoleon, dowiedziawszy się o wypowiedzeniu wojny wczesną jesienią 1805 r. — pierwszy zaatakował i, z błyskawiczną szybkością ścigając

swe znakomite wojska, — otoczył i wziął do niewoli pod Ulmem w Wirtembergii pierwszą armię austriacką pod dowództwem generała Macka, a następnie brzegami Dunaju ruszył na Wiedeń i zajął odwieczną stolicę Habsburgów.

Druga armia austriacka i wojska rosyjskie pod naczelnem dowództwem Kutuzowa stały przez listopad na silnej pozycji między stolicą Moraw Brnem i miasteczkiem Austerlitz w sile 95000 ludzi. Najroztropniej było wyczekać na tem stanowisku przybycia trzeciej armii austriackiej arcyksięcia Karola, który po upadku Wiednia cofnął się do Węgier.

Napoleon bardzo sobie życzył stoczyć bi-

syjskiej, znalazł zupełne potwierdzenie swych domysłów.

Plan swego działania ogłosił wojsku wieczorem d. 1 grudnia w tych słowach:

„Żołnierze! nieprzyjaciel zamierza obejść nas z prawej strony, ale przez to osłabia swoje prawe skrzydło; ja skieruję wasze ciosy na ten słaby punkt, a zwycięstwo będzie nasze; ono zakończy wojnę i da nam pokój, godny Francyi, was i mnie!”

Ta odezwa, w której genialny wódz odsłaniał przed wojskiem swój plan bitwy, wywarła na żołnierzy wrażenie bardzo korzystne i nappełniła ich zachwytem.



Napoleon przed bitwą pod Austerlitz.

Rys. Jan Chełmiński.

twę przed połączeniem się wszystkich sił nieprzyjacielskich, gdyż posiadał tylko 65000 ludzi, widział jednak wielką trudność w atakowaniu tak silnej pozycji. Lecz w głównej kwaterze rusko-austriackiej przy przewadze sił panowała wielka pewność i zaufanie w sobie. Zarozumiałość ta podniosła się jeszcze więcej po szczęśliwej potyczce podjazdowej.

Młodzi doradcy Aleksandra tak byli pewni zwycięstwa, iż obawiali się tylko, aby im Napoleon z rąk się nie wymknął. Umyślili tedy obejść wojsko francuzkie z prawego skrzydła i w d. 1 grudnia rozpoczęły swój manewr. Napoleon odgadł zamiar nieprzyjaciół i nie posiadał się z radości, gdy spoglądając z góry Santra (patrz rycinę) na rozkład armii austro-ro-

Przewidywania Napoleona nie zawiodły go. Nazajutrz pomimo waleczności pojedynczych pułków, wojsko austro-rosyjskie zostało do szczętu rozbite. Sprzymierzeńcy stracili 27000 ludzi t. j. trzecią część całej armii i 158 dział. Reszta poszła w rozsypkę. Pokój w Presburgu zakończył wojnę, na której głównie stracił dom Habsburgów. Cesarz Franciszek złożył tytuł cesarza rzymsko-niemieckiego, i przyjął miano cesarza austriackiego; zrzekł się przez to wszelkiego wpływu w Niemczech, i utracił część swych posiadłości. Dla Polski wojna ta nie miała żadnego znaczenia, gdyż dopiero w rok później po pogromie Prus, Napoleon wszedł do Warszawy i utworzył następnie z zaboru pruskiego — Wielkie Księstwo Warszawskie.



Pomnik Kosciuszki w parku Humboldta w Chicago.

Pomnik Kościuszki w parku Humboldta w Chicago.

Tadeusz Kościuszko, który walczył w imię wolności nie tylko we własnej ojczyźnie, lecz i na drugiej półkuli świata o niepodległość Stanów Ameryki północnej — należy do rzędu bohaterów, którym świat cały, nawet jego przeciwnicy, hołd i uznanie składali. Wielbili go Anglicy, pomimo iż walczył przeciw nim, a cesarz Paweł obdarzył go wolnością, natychmiast po wstąpieniu na tron. Najpiękniejszy pomnik, kopiec pod Krakowem, usypali mu rodacy, w kilka lat po śmierci własnymi rękami. Obecnie Amerykanie, którzy w poszukiwaniu bogactw materialnych — rzadko o wdzięczności myślą, zdobyli się za inicjatywą Polaków miejscowych na wystawienie mu pomnika w Chicago. Odsłonięto go uroczystie d. 11 września roku bieżącego.

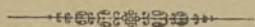


RORATY.

W grudniu Kościół obchodzi okres przygotowania do uroczystości Bożego Narodzenia, który nazywa się Adwentem, z łacińskiego *adventus*, co znaczy — przyście. Codziennie przed wschodem słońca odprawia się wówczas Msza Św. zwana roratą od początkowych słów hymnu *Rorate coeli* (spuść rosę niebios). W jednej tylko Polsce od XIII w. istnieje zwyczaj zapalania podczas tej mszy siedmiu świec na ołtarzu na cześć Matki Boskiej.

Zapalanie owych świec na dworze królewskim odbywało się aż do 1794 r. z wielką uroczystością przez króla i przedstawicieli wszystkich stanów. Znaczenie tego obrzędu wyjaśnia podniosły wiersz Syrokomli (L. Kondratowicz).

Od Boiesława, Łokietka, Leszka
Gdy jeszcze w Polsce Duch Polski mieszka,
Stał na ołtarzu przed Mszą roraty
Siedmioramienny świecznik bogaty.
A stany Państwa szły do ołtarza
I każdy jedną świecę rozżarza.
Król — który berłem potężnym włada,
Prymas — najpierwsza senatu rada,
Senator świecki — opiekun prawa,
Szlachcic — co królów Polsce nadawa,
Żołnierz — co broni swoich współbraci,
Kupiec — co handlem ziomek bogaci,
Chłopek — co z pola, ze krwi i roli
Dla reszty braci chleb im mozoli.
Každy na świeczkę grosz swój przyłoży,
I każdy gotów iść na Sąd Boży,
Tak siedem stanów z ziemicy całej,
Siedmiu płomieniami jasno gorzały.



Przyjaźń.

Powieść przez J. M.



(ciąg dalszy.)

— Poczóż zaraz robić takie tragiczne przypuszczenia — roześmiał się wesoło stryj — twoja koleżanka nie wyjeżdża chyba do Australii. Jednak, choćbyście się miały zobaczyć bardzo wkrótce, pojmuję, że skoro masz zapowiedzianego gościa, nie możesz wyjść z domu. Zatem pójdziemy sobie we dwóch z Bolkim — będzie to nawet bardzo paradnie, choć w liczniejszym towarzystwie byłoby nam nieco weselej. Ale i mama wczoraj jeszcze zapowiedziała, że nam towarzyszyć nie będzie, bo ma jakąś sesję dobroczynną.

— Do całej łoży tylko we dwóch! — westchnął Bolek z rodzajem podziwu i żalu.

— Ha, no, cóż robić? trudno mi odprzedać pół łoży, zatem musimy pójść do „całej“.

— Bo też ta Ludka fiksuje z tą swoją „Stachą“ — takiego „Dyktatora“ się wyrzec! Tyłu znam, coby nie wiem co dali, żeby być na tej sztuce.

— A może masz ochotę zaprosić sobie kogoś z kolegów? no, chłopcze bez ceremonii! miejsca jest dosyć, a zapewne i amatora łatwo znajdziesz.

— Ach, stryjciu, jaki stryjcio dobry! ale może stryjciowi robi to ambaras?

— A jakież ambaras może mi to zrobić, że twój kolega będzie sobie siedział w łoży. Ja będę miał swoje krzesło a on swoje. Z dzieckiem może być ambaras, ale z takim dużym studentem to chyba prędzej przyjemność, jeżeli chłopak sympatyczny...

— O, bardzo! — ale... stryjciu... a jeżeli on będzie miał trochę podniszczony mundurek — to nic?

— Wiesz, Bolku, miałem cię za mądrzejszego — roześmiał się stryj. — Czy ty myślisz, że ja idę do teatru prezentować twój mundur, albo mój surdut? Byle mundurek twojego kolegi nie był obdarty lub nieoczyszczony, to dla mnie będzie paradny!

— Prawda — przepraszam stryjcia, żem taki niemądry — powinienem znać zasady stryjcia. No, to teraz pójde do tego kolegi — dobrze!

Skacząc po trzy schody naraz, Bolek wbiegł na trzecie pięterko, gdzie była stancja Michaśa. Po drodze myślał sobie.

— Ludka z pewnością tak demonstruje z tą swoją Stachą, żeby mnie przekonać, że ona umie być lepszą przyjaciółką, niż ja przyjacięlem. A niech sobie siedzi w domu jeszcze lepiej, Michaś na tem skorzysta.

gdzie pełza jeszcze wiotkiem ramieniem — koso-drzewina. Roślina to gibka, krzaczasta, nisko przysiadła w załomach skalnych i wypuszcza postrzępione, długie, a bardzo wonne gałęzie.

Idziesz: pustka wokoło, jeno od czasu do czasu skacząca dzika kozica mignie. Zwierz chyży i skok ogromny, ale płochliwe to wielce i zbliżyć się nie da do siebie.

Idziesz: cisza nad tobą, jeno od czasu do czasu orły w przelocie skrzydłami gdzieś załopocą.

W rozpadlinach śnieg leży, nie stopniał wcale, choć Pan Bóg zesłał lato. Bo i chłodno tutaj, lata nie zgadniesz. Im wyżej, tem chłodniej, powietrze coraz radsze.

Już ci zniknęło z oczu wszystko zwyczajne na ziemi, wszystko barwiste, ruszające się i rosnące. Zapadły w dół lasy i pochowały się hale.

Nic, jeno turnie wokrag.

A jeszcze trochę wysiłku i ujrysz owych turni wierzchołki, „wirchy“, kamienne głowy nieprzemierzonych olbrzymów.

Dziwnie stąd świat wygląda: głązy i głązy i przedsię bez końca głązy.

W tej podniebnej krainie cuda sę kryją, że o takowych gdzieindziej i we śnie nie słyszano. Oto naprzykład, wspinasz się stromą ścieżką oślizgłą, naprzeciwno masz wielkie, poważne, majestatyczne skały. Cichość i jakby martwota. Zda się, iż ścieżka prościutko do owych skał cię przywiedzie. Tymczasem nagle na załomie stajesz jak wryty. Jawa, czy cud wyśniony; patrzysz, czy nie wierzą ..

Przed tobą w pierścieniu skalnym jezioro. Przepiękne, przeczyste, jakoby od głębin spoglądające.

Na takiej wyżynie i w obręczy głązów jezioro!

Nazwano je: „Morskie Oko“.

Cud utajony w górach.

Przez wieki całe przezrocze odbija w sobie surowe ściany turni, przez wieki całe to Oko nieporównane patrzy w rozwarte ponad turniami niebo.

Babula mówi teraz o tem, jak w górach wysokich noc zapada. Już zaległa podnóża, doliny, przepaści. Smutny cień pełza po zboczach skalnych; na szczytach jeszcze słońce... ale wnet gaśnie, gaśnie...

Tak się wydaje.

W istocie słońce pozostało zarówno jasne, rozpalone w przestrzeni, jeno ziemia w tym swoim niestrudzonem i nieprzerwanym obrocie odwróciła się odeń całą połową i zaszła w ciemność. A właśnie na tej połowie nasz kraj rodzinny leży.

Kędyś w dolinach z krzykiem żalobnym

zerwały się puchacze. Kędyś po stokach górskich, wśród puszczy zgęszczonych wychodzą na żer wilki.

Ale tutaj, na tych wyżynach — cisza.

Nagle... dziw! czy słyszycie?

W wielkiem milczeniu niespodziewany, donośny dźwięk, jakby z trąby rycerskiej albo z rogu.

Rozlega się to, rozlega. Słuchajcie!

Echo porwało dźwięki i gra onemi przeciągle po skałach.

Nie widać nic; ciemniusieńko dokoła, a wtem słychać powtórny głos rogu.

Dalibóg! to pobudka.

Taką pobudkę grają trębacze przed pochodem — rycerzom.

Lecz tutaj kto i komu?

Rozwidniło się trochę; przebłyska białawe lecz czyste niebo; północ nadchodzi, gwiazdy migocą.

Oczy nasze już przywykły do mroku; widzimy prostopadłą niemal, szarawą ścianę turni i załom w niej nagły: to wejście do wielkiego wgłębienia, czyli do jaskini.

Jezus! Maryja! A cóż to?

W otworze jaskini stoi postać przedziwna.

Mąż to rosły, barczysty, cały niebywale przyodzian, jakby w srebrzyste blachy. Ma z nich niby koszulkę na piersiach, ramionach i plecach. Wszystko stalowe a wysrebrzane, więc połyskuje nieco. Na głowie hełm też ze stali, a od barków zwieszają się skrzydła, prawdziwe orle skrzydła ..

W obu rękach róg trzyma.

Północ.

Rycerz podniósł róg do ust i zadął po raz trzeci.

Wstrzymajcie oddech: gra echo.

Jezu! Jezu!.. czy tłumy wielkich ptaków gdzieś ciągną, taki ogromny szelest w powietrzu? Czy to stal gdzieś tak rozdzwiewła? bo do szelestu metaliczny głos się przyłącza?

W otworze jaskini zamajaczyło coś i nie gaśnie, jeno się wzmacnia i występuje, już stało się wyraźne; oto idą szeregiem długim rycerze. Stąpanie ich twarde rozlega się po głązach. Całe wojsko jakby skrzydlate: od mnóstwa skrzydeł taki szum w powietrzu. Wyszli i zajęli wszystką przestrzeń na płaskim występie skały. Chwila dziwna i uroczysta: prawice rycerzy spoczęły na rękojeściach mieczów. Co teraz będzie? Czy owo wojsko zakłete naraz wyciągnie oręż i wybuchnie pieśnią prastarą: „Bogarodzica, dziewica! Bogiem sławiona Maryja“. Czy z ową pieśnią grzmiącą i z szumem niezmiernym skrzydeł zleci kędyś w uśpiony świat, na doliny?

Stoją rycerze.

Nagle w momencie, gdy przemijała godzina północna uczynili chrzęst wielki, z niczem nieporównany.

Oto każdy rozechwiał ramiona, aby tym

ruchem rozkołysać swe skrzydła. I wydało się wszystko wojsko jakby błogosławiące takim szumem orłowym smutną w pomrokach ziemię.

I znikli...

Umilkła babula.

— Dlaczego? dlaczego znikli? — dopytuje się Wojtek.

— A co chcieli uczynić? — bada Anulka.

— Widzisz, to tacy w górach strzelistych zakłęci, stalowi i skrzydlaci rycerze o północy budzą się i wychodzą spojrzeć na świat z wysoko. Kiedyś zagrzmia pieśnią i znijdą, zlecą huraganem orłowym, by wytepić zło wszystko i wszelkie krzywdy, które są na ziemi.

— Czemuż teraz nie schodzą? — rozpoczyna Anulka.

— Ba! ba! widać nie czas im jeszcze, więc tylko czyniąc wielki, skrzydlaty szmer, obiecują: przyjdziemy, przyjdziemy.

— Babulu! a dużo krzywdy po świecie? — dopytują się dzieci zaciekawione.

— Czy dużo? Dorośnięcie, przekonacie się sami.

— To może i dorastać nie warto? — zauważyła smutnie Anulka. — Jeśli tak źle i brzydko, to wolę nie widzieć i zawsze być mała.

Wojtek nie mówił, tylko coś ważył w głowie, rozważał i zasepiły mu się oczęta.

Babula popatrzała na jedno i na drugie.

— Zapewne dużo jest złego — powiedziała po chwili, — ale były i są, i będą ponadto prawdziwie piękne rzeczy, prawdziwie Boże sprawy. Jest siła, którą Pan Bóg ludzi obdarowuje, aby umieli przeciwko złemu walczyć i dobijać się do bra a szczęścia dla bliźnich i dla siebie.

Taka święta moc, dziatki moje, nazywa się: Miłość!

Proście, codziennie proście w pacierzu, by ją wam kiedyś dano.

— A kogóż to mamy kochać? — pyta Anulka.

— Gdy przyjdzie Miłość, cudownie was nacy. A zresztą teraz wam powiem potrochu: wszystkich ludzi, ale najwięcej, najwięcej tych, co jedną z wami mową Pana Boga chwala. Wszystek świat, ale stokrotnie najwięcej ten kraj rodzony, który was chlebem swym karmi i wodą poi, i czyste powietrze swoje daje do oddychania.

No! ale już późno... Dosyć! Sięgnęłam i dobyłam wam bajkę z mojej sakwy ostatnią. Bywajcie teraz zdrowi.

I poczęła wstawać babula.

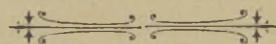
Dzieci rozżaliły się nagle.

— Jakto? więcej bajek nie posłyszemy? Babulu, szkoda, szkoda! Poszukajcie-no jeszcze! przynieście jaką ze świata.

Babula odziewała się, postępując.

— Ale — rzekła po chwili, wstrząsnawszy głową — proście gorąco w pacierzu, niech wam z Bożej łaski kto inny ładną i mądrą bajkę opowie, albo co lepsze, prawdziwą, piękną rzecz pokaże. Wszak takie rzeczy były, były i znowu kiedyś będą...

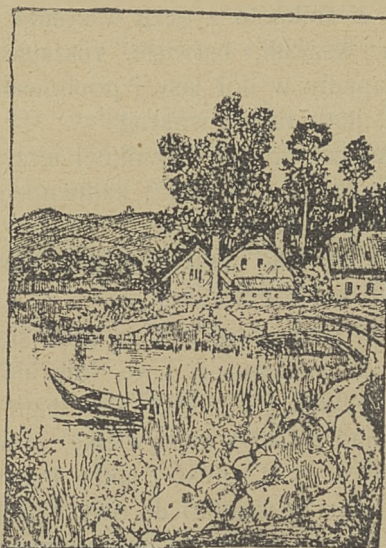
Z temi słowy, głośno stukając kijaszkiem wyszła za próg babula. (d. c. n.)



Zadania i łamigłówki.



Zagadka w obrazku.



Gdzie jest na tym obrazku żona rybaka?

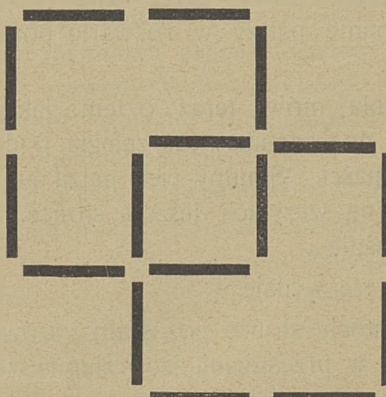
FIGIEL.

ułożyła Mania z nad Proсны.

Który jest miesiąc najdłuższy?

Rozwiązania do N-ru 44-go.

Łamigłówki geometrycznej:



Zadania literowego: W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.

Szarady: Su—mie—nie.

— Przynoszę szanownemu panu Michałowi Kruckiemu zaproszenie do łoży, na „Dyktatora“! wygłosił uroczyście otwierając drzwi stancyjki zajmowanej przez uczniów.

Michał zerwał się od książki.

— Ja na „Dyktatora“ — do teatru?... wyjąkał ze zdumieniem.

— Tak, ty na „Dyktatora“ — potwierdził z naciskiem i z odcieniem tryumfu w głosie Bolek. Stryj mój wziął łożę na dzisiejsze przedstawienie i pozwolił mi zaprosić jednego z kolegów, więc naturalnie, zapraszam ciebie.

— Och, Bolku, dziękuję ci! jaki ty dobry jesteś! wykrzyknął Michał z uniesieniem radości, usiłując się rzucić na szyję kolegi, który jednak, usunął się lekko, bo nie lubił „czułościowości“.

— Ale... ale... i mizerna twarzyczka Michasia straciła nagle swój radosny wyraz. — Ale ja przecież nie iść mogę.

— Nie możesz? cóż to znowu? ofuknął się Bolek — musisz pójść!

— Ach, mój Boże, jabyłem przecie tak pragnął! tłumaczył się zafrasowany Michał. Raz w życiu dotąd byłem w teatrze — i to taka cudowna rzecz — ale nie mogę, naprawdę. Wiesz, że za dwa dni mam zdawać z geometrii, tak się naprosiłem profesora, żeby mnie jeszcze raz wypytał, a dotąd bardzo mało powtórzyłem.

— Eh, wiecznie z tą geometrią wyjeżdżasz! Niezadługo nie będziesz mógł zjeść obiadu, bo się będziesz uczył geometrii. — Bądźże praktyczny! geometrię możesz mieć codzień — a teatr ci się trafia... raz na pięć lat.

— Na dziesięć! — poprawił Michał — ale cóż zrobić, kiedy to już ta blisko koniec kursu i cenzura.

— Co zrobić? Książka w ką, głowa do góry i marsz do teatru! Myślisz, że czegoś się dotąd przez cały rok nie nauczył, to teraz za dwa dni dogonisz?

— Nie... ja tego nie myślę — ale zawsze, choć trudniejsze okresy powtórzyłbym.

— A ja ci powiem: ty do geometrii nawet się nie bierz, bo jej nie umiesz i nigdy nie będziesz dobrze umiał.

— Dlaczego?! — szepnął Michał przerażony tym wyrokiem.

— A bo ty nawet dobrze nie rozumiesz o co chodzi — przecie ja widzę z miny twojej, jak zaczynasz rysować na tablicy, że nie wiesz od czego zacząć a na czym skończyć.

— Prawda, że niektóre prawidła niedobrze rozumiem — westchnął Michał.

— No widzisz, geometrią nigdy nie będziesz — ot tak, z łaski pańskiej profesora przepchasz do matury — a jak raz pójdziesz na uni-

wersytet i zostaniesz filologiem, to co ci tam po geometrii?

— To wszystko prawda, ale jakoś... iść do teatru, kiedy tyle jest do nauki...

— A wiesz, że z ciebie nudziasz kapitalny! Raz ci się trafiło zaproszenie do teatru i jeszcze będziesz się trzy godziny namyślał, czy iść? To nawet dla ciebie pożyteczniejsze niż ta wiekuista geometria. Przecież, jeśli chcesz być profesorem, to przedewszystkiem musisz być ogólnie wykształconym człowiekiem — a ja wiem, że teatr bardzo kształci, czytałem nawet o tem w gazetach.

Mina Michasia zdradzała, że dowody przytaczane przez Bolka coraz to bardziej zachwiewały jego postanowieniem — nareszcie Bolek rzucił ostateczny argument:

— Krótko a węzłowato: chcesz być moim przyjacielem, to chodź! bo ja z nudziarzami, co sobie i drugim zakwaszają życie, nie chcę mieć nic do czynienia. No, a jeżeli ci to wszystko jedno, to sobie rezygnuj i z teatru i z mojej przyjaźni.

— O Bolku, jak możesz nawet myśleć, żeby mi to było wszystko jedno!

— Więc pójdziesz?

— Pójdę — może ty i masz słuszość w tem wszystkim co mówisz.

— Ma się rozumieć, że mam słuszość! ja mam zawsze słuszość — a ty jesteś zacny chłopiec, tylko trochę „przeobowiązkowy“ — ale mam nadzieję, że ci to minie z czasem.

Wieczór przeszedł chłopcom cudownie. Sztuka była zachwycająca, stryjaszek w wybornym humorze, po teatrze zaprosił ich na czekoladę do cukierni i zapowiedział, że gdyby jeszcze w tych dniach dawano jakie patryotyczne przedstawienie, to ich znowu weźmie do teatru. Bolek, patrząc na promieniejącą zająciem twarz Michasia, parę razy zapytał: A co? nie żałujesz żeś poszedł? — i cieszył się w duszy, że przecie raz, Michał miał jemu do zawdzięczenia jakąś przyjemność

Pocziwy stryjaszek dotrzymał obietnicy, mimo, że narazie nie dawano w teatrze, żadnej szczególnie dla młodzieży zajmującej sztuki, zaprosił obu chłopców na galowe przedstawienie do cyrku.

Tym razem to już całkiem na pewno i stanowczo Michał nie chciał iść — przecie nie mógł tych ostatnich, tak dla niego ważnych dni spędzić na próżnowaniu i zabawach. To dobre dla takich celujących uczni, jak Bolek, ale nie dla niego co się promocji musiał dobijać najusilniejszą pracą. Okropnie był ciekawy jak cyrk wygląda — ale to okropnie! Nigdy w życiu tam nie był i być nie może, że nigdy nie

będzie, takie rozrywki, to nie dla biedaków — ale przecież obowiązek, rzecz pierwsza.

Jednak Bolek był zupełnie odmiennego zdania, dowodził, że takie „kucie“ na parę dni przed egzaminem było śmiesznością, tchórzostwem ubliżającym honorowi, i zresztą całkiem zbytecznym, bo przecież profesorowie dają stopnie z tego jak się kto uczy, przez całe półroczcie a nie z tych kilku ostatnich dni. Przy tem odmowa, byłaby wielką niegrzecznością dla stryja, który tym razem sam o Michasiu pomyślał.

— Na moje zaproszenie to poszedłeś, a teraz gdy stryj sam cię zaprasza, i cieszy się, że ci zrobi przyjemność, miałbyś odmówić? do czegożby to było podobnem!

Argument ten przełamał odrazu cały opór Michasia; chłopczyzna był nieśmiały, nie obyty w świecie, pozbawiony w tym względzie wszelkiego kierunku, a pragnący postępować zawsze jak człowiek dobrze wychowany. Przytem obdarzony z natury bardzo wdzięcznym sercem, ogromnie cenił każdy dowód okazanej sobie przychylności — a tak rzadko doświadczał tego, żeby się ktoś zajmował jego osobą, a tembardziej żeby chciał myśleć o jego przyjemnościach — komuby się to chciało? Ten stryj Bolka, musi być rzeczywiście człowiekiem wyjątkowej dobroci — ale bo też i Bolek! jakiego pocziwy, żeby mu tak chodziło o sprawienie radości Michasiowi! Pewnie nie ma na świecie drugiego takiego przyjaciela.

Bolek po części był sam tego zdania. Zwłaszcza, gdy zasiadłszy w cyrku na pierwszorzędnym miejscu, pomiędzy swym eleganckim stryjaszkiem a w bardzo wytarty mundurek odzianym Michasiem, zobaczył siedzących naokoło w łóżach znajomych, z którymi wymieniał uśmiechy i ukłony, prawie bezwiednie pomyślał sobie:

— Czy też to nie bardzo rażąco wygląda, że ten biedny Michaś tak lichu ubrany, omal, omal, że nie obdarty, siedzi obok nas? Wszyscy się dziwić muszą skąd stryj i ja przyszliśmy do takiego towarzystwa. Ale to nie! niech się dziwią — niech wiedzą, że to mój przyjaciel, a prawdziwa przyjaźń nie dba o takie błażostki — dla mnie suknia nie stanowi człowieka.

Michaś nie zdawał sobie wcale sprawy z tego, że jego przyjacielowi mogły nawet przyjść do głowy podobne uwagi. Przedewszystkiem tak był zżyty z tym starym mundurkiem, że jego wytarte szwy nie raziły go już ani trochę; przytem, w tej chwili całą jego uwagę pochłonięto przedstawienie, które wydało mu się jakąś zamienioną w rzeczywistość, czarodziejską baśnią.

Te stroje, migocące od barw i złota, ta lekkość i zręczność ruchów, równająca ludzi

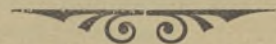
z jakimiś istotami nadpowietrznymi, a wreszcie zdumiewająca inteligencja zwierząt, ich posłuszeństwo na każde skinienie, wprawiały go w zupełnie dziecinny zachwyty — bo też zamknięty w swojej stancyjce, z oczyma wiecznie przykutymi do książki, tak mało jeszcze obeznany był z przyjemnościami życia, z którymi inni oswajają się od dzieciństwa, że wrażliwość jego pod tym względem była niezmiernie spotęgowana. Z trudnością powstrzymywał okrzyki radośnego zachwyty, a Bolek naprawdę więcej cieszył się jego podziwem niż samem przedstawieniem, które dla niego nie było już taką nowością.

Z cyrku wstąpili jeszcze na kolacyę do hotelu, stryjaszek chciał jak mówił — ubawić „po uszy“ swych młodych przyjaciół.

Ale Bolkowi ta zabawa niezupełnie wyszła na dobre, bo zjadłszy dwie porcy lodów, dostał zapalenie gardła i musiał następnym parę dni przeleżeć w łóżku. Wyrzekał na okropne nudy i dziwił się, że Michaś tak mało mu czasu poświęca. Przychodził wprawdzie co dzień na dobrą godzinę — ale cóż to jest, godzina? gdy dzień jest taki długi! Bawili się przecie razem, mogliby się razem trochę ponudzić.

Nadszedł 15-ty lipca — Bolek zdrowszy już, nie mógł jednak iść do szkoły tembardziej, że dzień był słotny i zimny. Ojciec jego napisał parę słów do gospodarza klasy z prośbą, aby świadectwo jego oddano do rąk Michasia Krukckiego.

Około jedenastej Bolek zaczął się już mocno niecierpliwic: przecie niepodobna, żeby rozdanie świadectw trwało tak długo — nieznośny maruda z tego Michasia! Wprawdzie nie był o świadectwo wcale niespokojny — wiedział z góry co tam wyczyta, ale zawsze przyjemniej było mieć je już przed oczami.



SPRAWOZDANIE

z konkursu robót ręcznych dla panienek.

(Robót sztuk 66 i 6 lalek w strojach ludowych. Nagród 23. Pochwał 10).

Nie dziwiliśmy się, rozpatrując plon konkursowy tegoroczny, że kochane czytelniczki stanęły mniej licznie tej jesieni do apelu; przerwa w komunikacji, wywołana bezrobociem kolejowem i zapewne większa potrzeba zajęcia się pracą dobroczynną w najbliższym otoczeniu — wpłynęły na to. A szkoda! bo uboga działy warszawska na największą zasługuje pomoc, gdyż czem większe miasto, tem więcej gromadzi nędzy i tem cięższem jest jej brzemię.

Warszawa zaś, to przecie stolica kraju, główne ognisko życia polskiego.

Z radością jednak i wdzięcznością przyznajemy, że te trzydzieści kilka panienek, które sercem i dłońią odpowiedziały na doroczne wezwanie nasze — nie żałowały swego trudu, wykazały prawdziwą umiejętność i wprawę, i przysłały więcej robót, niż w roku zeszłym np. większa liczba pracowniczek. Dziękujemy im za to z całego serca, dziękujemy w imieniu godności niewieściej, która zachęca ich do pilnego kształcenia się w robotach ręcznych, tak użytecznych wszędzie, a zarazem mogących być tak estetycznymi i pięknymi, a dziękujemy także w imieniu ubogiej dziatwy warszawskiej, której te wasze sukienki, koszulki, fartuszki i lalki na gwiazdkę rozdamy.

Jako pamiątki od „Wieczorów Rodziny” przyznaliśmy naszym kochanym pracowniczkom nagrody i pochwały, uwzględniając przy sądzeniu ich wiek, oraz jakość i ilość samych robótek. Rozpoczynamy od najmłodszych: Nagrody otrzymują:

Czarna Gąska (koszulka, majteczki, spódniczka i sukienka), *Detyna* (suk. barch.), *Janka Czapska* (kapturek włóczkowy), *Jadwiśka* (suk. barch.), *Marylka Słiwowska* (suk. szydełkowa), *R. Auerbachówna* (2 koszulki, 2 fartuszki), *Natalka Szukszta* (suk., 2 kosz., kaftaniczek i fartuszek), *Calóveczka* (suk. szyd.), *Nemophila* (sukienka), *Kulka Swidówna* (suk., kaft., kosz.), *Janka Szokalska* (spódn. szyd.), *Halka z nad Teterowa* (suk. i kosz.), *Zofia Krajewska* (suk. barch.), *Aniela Mokiejewska* (suk.), *Leśna Niezapominajka* (serwetka haftowana), *Muszka z nad Rosi* (2 suk., 2 spódn.), *Rybka z nad Newy* (2 kosz., 2 fart.), *Halka Dzadzibożka* (pasek tkany i fart.), *Marylka Dzadzibożka* (ręcznik tkany i serdaczek), *Jaśka Machczyńska* (kosz. i serw. haft.), *Gospośia* (suk., spódnicz., kosz. majteczki, fart. i sześć lalek w strojach ludowych), *Janina Froté* (kosz. i spódn.), *Janina Tęczynska* (suk. i fart.).

Na pochwałę zasłużyły: *Bezimienna* (koszul.), *Jula Mokiejewska* (suk.), *Laszka* (fart.), *Kamajana* (ramka drewniana malowana), *Gwiazdka* (fart.), *Gołąbka* (kosz.), *Paryżanka* (spódn.), *Zosia z Częstochowy* (suk.), *Biruta* (kosz.), *Ela z Grodna* (kosz.).

Bez kartki z nazwiskiem otrzymaliśmy bezimiennie 12 koszulek, zasługujących na nagrodę.

Prosimy nagrodzone panienki o odebranie książek w redakcyi (Mazowiecka 10) gdyż kosztą przesyłki pocztą wynoszą co najmniej 14 kop. Zasługującym na pochwałę rozesłamy kalendarzyki na rok 1906.

N. b. Panienki, któreby chciały obejrzeć te roboty, prosimy o przybycie do redakcyi w niedzielę d. 10 grudnia między godz. 12—3 w południe.



Skrzynka do listów.

Pisklęta moje ukochane! Stan wojenny zniesiony. kraj wraca do normalnej pracy nad należytem korzy-

staniem ze swobód, nadanych przez Manifest 30 października, miejmy nadzieję, że zaranie lepszej przyszłości nie zawiedzie. Zazdroszczę wam młodości i możności pracowania pod hasłem: służby dla ojczyzny. Stary ptak sterał życie na pokątnym dorzucaniu słabych okrohów do budowy lepszej przyszłości, wy będziecie mogli śmiało stawać w szranki działaczy, o pomyślne jutro. Wolno wam wyrażać uczucia wasze, wolno zaznaczać na każdym kroku, że Polakami jesteście i stajecie do pracy dla Polski.

Ale wolność nakłada obowiązek karności i o tę karność właśnie upominam was pisklęta kochane. Niech polskie szkoły będą wzorowemi szkołami, polska młodzież wzorową młodzieżą. Uczcie się nie dla stopni, uczcie się dla tego, że tak wam nakazuje wasz honor wolnego obywatela, dla tego, że dobrą nauką spełnicie obowiązek względem rodziców i ojczyzny, że okażecie wzorowem postępowaniem zaufanie do waszych przełożonych. Zadanie ich trudne, muszą oni od fundamentu przebudować szkołę polską, żeby wskrzesić dawne jej wielkie tradycje. Starajcie się znać tę chwalebłą przeszłość naszego narodu, znać zasługi Śniadeckich, Czackiego, Konarskiego i dążyć razem z nauczycielami do wskrzeszenia szkoły, zdolnej wychowywać dzielnych obywateli kraju.

Szkołę mamy teraz w wielu domach warszawskich, a da Bóg będzie ich coraz więcej. Chętni do pracy nad analfabetami zbierają w oznaczonej godzinie nieumiejących czytać i pisać, lub umiejących zbyt mało i taki komplet uczy się razem pod kierunkiem jednej lub kilku osób stosownie do tego ilu klasa ma uczniów. Zapisują się do nich dzieci z suterem, służący z prywatnych domów, często starsi wiekiem ale młodszy zapalem do nauki. Znam majstra, który przychodzi razem ze swoim czeladnikiem, matkę mniej umiejącą od córki; a jednak razem z nią schyloną nad kajetem. Wzruszający to widok, wierzajcie mi!

Karty Paskudnego Dzieciaka odebrane dziś, są mi dowodem, że i prowincya nie próżnuje, a chociaż, jak pisze Dzieciak, nauczanie napotkało u was na przeszkody, to zniesienie stanu wojennego przywraca swobodę szlachetnej pracy. Ucieszyłeś mnie Dzieciaku dewizą, «że nie trzeba nigdy tracić nadziei». Dawne twoje listy brzmiały pesymizmem, który boli mnie w was kochane pisklęta. Może praca nad analfabetami wróciła szlachetnemu dzieciakowi wiarę w lepszą przyszłość, może przyszłesz nam znów kiedy udatny, a weselszy wierszyk, tylko zmiłuj się Dzieciaku nad oczami Jaskółki i pisz wyraźniej.

Wiecie kto odezwał się dziś do naszego grona? Oto **Lilla W eneda** o którą korespondenci moi zapytywali mnie wielokrotnie. Biedna Lilla, dzielna zawsze chociaż wiele przeszła smutków. Straciła dobrą babunię, musiała rozłączyć się z siostrą, musiała opuścić Warszawę, a na dźmiar biedy chorowała na tyfus. teraz zaś pielęgnuje bratową, która z tą samą walczy chorobą. Długi więc jest szereg złych o Lilli wiadomości, niemniej z listu tego kochanego pisklęcia wieje dobra otucha, chęć samodzielną pracy, wiara, że ją zdoła. Tę wiarę mam i ja to nie od dziś znam dzielną bojowniczkę, która umiała już być opiekunką drugich. Lilla przesyła przedwczoraj Żółce z rad Fes i wielu innym korespondentom Wieczorów, ja ją w imieniu całego naszego grona i we własnym do serca tulę obiecując napisać wyłącznie do niej jak tylko poczty rozpoczną przerwana strejkami pracę.

Znam cię **Wiosenko**, dotąd pisywałaś po

pseudonimem kwiatka co wiosnę zwiastuje, a teraz sama się w nią przedziergnęłaś, znam ciebie i kochanych twoich braciszków. O tem co robimy w Warszawie, piszę we wstępie do korespondencji. Oby ten numer Wieczorów jaknajprędzej doszedł twoich rąk i zaniósł ci pieszczotę Jaskółki.

Wzruszył mnie list **Bezimiennej**, którą teraz zawsze tak nazywać będę, gdyż dawny twój pseudonim wzięła inna korespondentka, widzisz, że źle jest długo milczeć bez powodu. Nie chcę jednak robić ci wymówek, owszem przygarniam z całej duszy pod skrzydełka i dam radę! Nie myśl o sobie, a ilekroć przyjdzie ci pokusa być niegrzeczną powiedz: „Jestem Polką i muszę pracować dla szczęścia ojczyzny“. Ufam gorąco, że te wielkie słowa zbudzą twą duszę do czynu i dadzą ci silną wolę wytrwania w dobrem.

Boleję nad tobą kochana **Podolanko**, bo pojmuję niepokój, i dzieję go całym sercem, ty wiesz, że oddawna łączy mnie szczerą życzliwość ze starszemi twemi siostrami. Proszę cię też bardzo, podziel się ze mną dobrą o nich wiadomością, a sama wytrwaj w pracy i przywieź do Polski dużo niemieckiej mądrości praktycznej. Przydałaby się nam bardzo szkoła gospodarska na wzór tej do której uczęszczasz.

Bratek Polny miłutki napisał liścik, chętnie uściskałabym kochanego kwiatka za radość jaką mi sprawił, a także za to, że razem z siostrzyczką pracuje nad zabawką dla biednego dziecka. Powiedz Bratku siostrzyczce, którą znam chociaż się ukryła, pod nowym pseudonimem, niech mi doniesie kiedy wróci do szkoły a ty napisz czy Zagraj zdrów i czy złapał cię za nos, tak jak przeszłego roku zrobił to **Wichrowi**.

Wesoła dziewczyna zdobyła sobie od razu moje serce bardzo miłym listem. Nie przeraża mnie wcale to co piszesz o swoim usposobieniu, rozumiem doskonale ochotę do figlów; przy których nawet guza oberwać można, ileż ja ich obrywałam za młodych lat i zostały mi wspomnieniem wesołych chwil. A nigdy chyba nie ceniłam więcej wesołego usposobienia jak dziś, kiedy przeżywamy chwile dręczącej niepewności. Zgadzam się też z tobą, że zadaniem poezji krzepić serca, że ludzie dobrzy nie zagoryczają bliźnich swym smutkiem. Widzisz więc dziewczyno jak wiele podobnych mamy upodobań. Na sam koniec zostawiłam sympatyą moją dla twoich przygotowań gwiazdkowych,

któremi masz obdarzyć biedne dzieciaki. Cieszę się nimi bo wielką prawdę zawiera wiersz Grudzińskiego:
Niechaj każdy na swej grzędzie
Choć najmniejsze źdźbło zdobędzie,
Mały chwast niech wykorzeni,
Małą iskrę niech roznieci,
A noc w dzień się nam zamieni.

Twoja gwiazdka Wesoła Dziewczyno będzie tą «małą iskrą» jeśli tysiące ich zapłonie i rozświeci smutne poddasza lub sutereny, to od płomyków, które miłość bratnia zapali, rozednieje jutrzienka doskonalszego zespolenia synów jednej ojczyzny.

O tę jedność i miłość modlić się gorąco nie przestanie
wasza

Jaskółka.

TREŚĆ:

Przedświt (wiersz—z ryc.) przez Ign. Balińskiego.— Młodość przez J. Korzeniowskiego.— Bitwa pod Austerlitz (z ryciną).— Pomnik Kościuszki (z ryc.).— Roraty.— Przyjaźń przez I. M.— Sprawozdanie z konkursu robót.— Skrzynka do listów.— **Dodatek:** Nowa książeczka, wiersz z ryc.— Przygoda Anielci.— Opowiadanie, przez J. Marciniowską.— Zadania i łamigłówki.

NA GWIAZDKĘ!

Album „Miłośnikom Pamiątek”

z teki **JANA OLSZEWSKIEGO**

z wierszem wstępny i zakończeniem przez **Or-ota**, zawierający 24 kart dużego formatu z objaśnieniami historycznymi. Widoki i pamiątki stron Ojczyстых wraz z portretami zasłużonych ludzi.

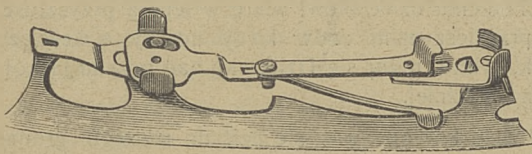
Do nabycia we wszystkich księgarniach. Skład główny: **GEBETHNER i WOLFF**. Warszawa. Cena rub. 1, na papierze kredowym w oprawie 2 rub.

Darmo wysyłamy na żądanie
Ilustrowany Cennik

Zabawek, Zajęć pożytecznych
i Gier towarzyskich oraz pouczających.
Wiśniakowski i Sp.

Warszawa.

Szpitalna № 8.



wszelkich najnowszych systemów

Ł Y Ż W Y

Krzysztof Brun i Syn

w Warszawie Plac Teatralny.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

Redaktorka **Ludwika Hauke**. Wydawczyni **Marya z Chomentowskich Balińska**.

W drukarni **E. Szyllera**, Nowy-Swiat 26.